

C.S. LEWIS

OPOWIEŚCI
Z
NARNII

KSIĄŻĘ KASPIAN

Ilustrowała Pauline Baynes

*

Przełożył Andrzej Polkowski



MEDIA RODZINA

Wyspa

BYŁO RAZ CZWORO DZIECI: Piotr, Zuzanna, Edmund i Łucja. W innej książce, pod tytułem *Lew, Czarownica i stara szafa*, opowiedziałem o niezwyklej przygodzie, jaka im się przydarzyła. Pewnego razu dzieci otworzyły drzwi zaczarowanej szafy i znalazły się w zupełnie innym świecie. A w tym innym świecie zostały królami i królowymi kraju zwanego Narnią. Były przekonane, że ich panowanie w Narnii trwało długie, długie lata, ale kiedy przeszły z powrotem przez drzwi starej szafy i znalazły się znowu w Anglii, okazało się, że wszystko to nie trwało nawet minuty. W każdym razie nikt nie zauważył ich zniknięcia. I nigdy nie opowiadały o swojej przygodzie nikomu, z wyjątkiem pewnego bardzo mądrego dorosłego.

Wszystko to wydarzyło się jakiś rok temu. Teraz cała czwórka siedziała na ławce na stacji kolejowej, a wokół nich piętrzyły się walizy i pudła z zabawkami. Wracali do szkoły. Stacja była ich miejscem przesiadki; dotąd podróżowali razem, a teraz czekali na dwa różne pociągi. Jeden miał zabrać do szkoły dziewczynki, a drugim – około pół godziny później – mieli pojechać do swojej szkoły chłopcy. Pierwsza część podróży, którą

odbyli razem, wydawała im się jeszcze częścią wakacji, ale teraz, kiedy mieli niedługo pożegnać się i rozdzielić, każde z nich czuło, że lato naprawdę już się kończy. Ponownie ogarnęły ich uczucia, które zna każdy, kto rozpoczynał nowy rok szkolny. Nic więc dziwnego, że wszyscy czworo mieli raczej ponure miny i nikt się nie wysiłał, aby zacząć rozmowę. Nie było o czym mówić. Łucja szła po raz pierwszy do szkoły z internatem.

Była to mała, wiejska stacja, pusta i uśpiona, na której prócz nich nie było nikogo. Siedzieli w ciszy.

Nagle Łucja wrzasnęła przenikliwie, jakby ją osa ugryzła.

– Co się stało, Łusiu? – zapytał Piotr i w chwilę potem sam krzyknął: – Au!

– Co wy, do licha... – zaczął Edmund, nagle urwał i zawołał: – Zuzanno, zostaw mnie! Co ty wyprawiasz? Dokąd mnie ciagniesz?!

– Nawet cię nie dotknęłam – zaprotestowała Zuzanna. – To MNIE ktoś ciągnie. Och – och – och! Przestań!

Każdy zauważył, że twarze pozostałych zrobiły się nagle białe.

– Czuję to samo – wykrztusił Edmund. – Jakby mnie coś ciągnęło. To jest okropne... och, znowu się zaczyna...

– Mnie też ktoś ciągnie – powiedziała Łucja. – Ojej, nie zniosę tego dłużej!

– Uwaga! – krzyknął Edmund. – Złapmy się za ręce i trzymajmy mocno razem. Czuję, że to jakieś czary. Prędko!

– Tak! – powiedziała Zuzanna. – Trzymajmy się mocno za ręce. Och, naprawdę, żeby to już przestało... och!

I nagle bagaże, ławka, peron i cała stacja zniknęły im sprzed oczu. Trzymając się za ręce i z trudem łapiąc oddech, znaleźli się w jakimś lesie, tak gęstym, że gałęzie wbijały się im w ubrania i trudno było się poruszać. Wszyscy czworo przetarli oczy i zaczerpnęli głęboko powietrza.

– Och, Piotrze! – krzyknęła Łucja. – Nie sądzisz, że wróciliśmy do Narnii?

– Możemy być wszędzie – odpowiedział Piotr. – W tym gąszczu trudno coś zobaczyć dalej niż na pół metra. Spróbujmy się wydostać na jakąś otwartą przestrzeń, jeżeli tu w ogóle taka jest.

Nie było to łatwe. W końcu, poparzeni pokrzywkami i podrapani kolcami, wydostali się z gęstwiny. Zrobiło się jaśniej i po kilku krokach znaleźli się na skraju lasu. Czekąca ich nowa niespodzianka. Tuż przed nimi rozciągała się piaszczysta plaża, a dalej, zaledwie parę metrów od nich, piasek obmywały fale morza, tak małe, że prawie nie słyszeli ich plusku. Na horyzoncie nie widniał żaden ląd, a na niebie nie było ani jednej chmurki. Słońce znajdowało się tam, gdzie powinno być o dziesiątej rano. Morze było oślepiająco niebieskie. Stali, wciągając w nozdrza słony, morski zapach.

– A niech to dunder świśnie! – zawołał Piotr. – To mi się nawet podoba.

Pięć minut później nikt już nie miał na nogach butów i skarpetek. Brodzili w chłodnej, czystej wodzie.

– Na pewno wolę to, niż kiszenie się w dusznym pociągu i zbliżanie do łaciny, francuskiego i algebry! – zauważył Edmund. I znowu nikt nic nie mówił przez dłuższy czas, wszyscy byli zajęci chlapaniem się w wodzie i wypatrywaniem krewetek i krabów.

– Tak czy owak – odezwała się w końcu Zuzanna – myślę, że powinniśmy coś postanowić. Niedługo zachce nam się jeść.

– Mamy kanapki, które mama dała nam na drogę – odpowiedział Edmund. – W każdym razie ja mam swoje.

– Ja nie – oznajmiła Łucja. – Moje były w tej mniejszej torbie.

– I moje też – dodała Zuzanna.

– Moje są w kieszeni płaszcza, tu, na plaży – powiedział Piotr.

– To by były dwa drugie śniadania na czworo. Nie wygląda to zbyt wesoło.

– Och, bardziej marzę o jakimś picciu niż o jedzeniu, przynajmniej w tej chwili – powiedziała Łucja.

Teraz każdy poczuł pragnienie, co jest zupełnie normalne, gdy w gorącym słońcu brodzi się przez dłuższy czas w słonej wodzie.

– To tak, jakbyśmy byli rozbitkami – zauważył Edmund. – W książkach zawsze na wyspie znajduje się jakieś źródło z czystą, świeżą wodą. Dobrze by było pójść i poszukać.

– Czy to znaczy, że trzeba wrócić do tego gęstego lasu? – zapytała Zuzanna.

– Wcale nie – odpowiedział Piotr. – Jeżeli tu są jakieś strumienie, to muszą wpadać do morza. Jak pójdziemy plażą, to w końcu na któryś natrafimy.

Ruszyli więc ku brzegowi lasu, najpierw przez pas gładkiego, mokrego piasku, a potem po suchym i łamliwym, przesypującym się między palcami nóg. Na skraju plaży włożyli skarpetki i buty. Edmund i Łucja chcieli je tu zostawić i iść dalej bosy, ale Zuzanna stwierdziła, że to głupi pomysł:

– Możemy już ich nie znaleźć, a będą nam potrzebne, jeśli zastanie nas tutaj noc i zrobi się zimno.

Ubrali się i powędrowali wzdłuż brzegu, mając morze po lewej stronie, a las po prawej. Okolica była cicha i spokojna, tylko od czasu do czasu pojawiała się samotna mewa. Do gęstego i splątanego lasu trudno było zajrzeć. Nic się w nim nie poruszało, ani śladu ptaków czy nawet owadów.

Musze i wodorosty, anemony i maleńkie kraby w skalnych rozpadlinach – wszystko to są rzeczy bardzo ciekawe, ale szybko ma się ich dość, jeżeli w gardle zasycha z pragnienia. Po brodzeniu w chłodnej wodzie dzieci czuły, jak pieką nogi i ciężą im ciasne teraz buty. Zuzanna i Łucja dźwigały swoje płaszcze od deszczu. Edmund położył swój na peronowej ławce, nim zaczęły się czary, więc teraz niósł na zmianę z Piotrem jego okrycie.

Brzeg zaczął skręcać w prawo. Po kwadransie doszli do wrzynającego się w morze skalistego cypla, za którym brzeg cofał się pod ostrym kątem w głąb lądu. Kiedy minęli cypel, szli w zupełnie przeciwnym kierunku

niż wówczas, gdy po raz pierwszy wyszli z lasu na plażę. Za wodą pojawił się drugi brzeg, porośnięty lasem tak samo gęstym jak ten, który zamierzali zbadać.

– Zastanawiam się, czy jesteśmy na wyspie, czy też idziemy wzdłuż głębokiej zatoki i w końcu dojdziemy do tamtego brzegu – odezwała się Łucja.

– Nie mam zielonego pojęcia – odpowiedział Piotr i znowu brnęli dalej w milczeniu.

Brzeg, którym szli, zaczął się teraz zbliżać do przeciwnego. Za każdym razem, kiedy dochodzili do kolejnego cypla, spodziewali się zobaczyć miejsce, w którym oba brzegi łączą się, i za każdym razem czekało ich rozczarowanie. Doszli w końcu do jakichś skał i wspięli się na nie, aby rozejrzeć się po okolicy.



– A niech to licho! – krzyknął Edmund. – Wcale mi się to nie podoba. Nigdy nie dojdziemy do tamtego lasu. Jesteśmy na wyspie!

Miał rację. W tym miejscu przesmyk między nimi a przeciwnym brzegiem miał zaledwie jakieś trzydzieści metrów szerokości, ale teraz widzieli już wy-

rażnie, że jest to tylko jego najwęższy odcinek. Dalej brzeg znowu się cofał, a pomiędzy nim a dalekim lądem jaśniało otwarte morze. Było oczywiste, że obeszli już więcej niż połowę wyspy.

– Spójrzcie! – zawołała Łucja. – Co to takiego? – Wskazała na długi srebrny kształt wijący się jak wąż przez plażę.

– Strumień! Strumień! – krzyknęli pozostali. Pomimo zmęczenia, nie tracąc ani chwili, ześlizgnęli się po skałach i pobiegli ku świeżej wodzie. Wiedzieli, że trudno pić wodę ze strumienia na piaszczystej plaży, skierowali się więc od razu do miejsca, w którym strumień wypływał z lasu. Drzewa i krzaki rosły tu tak samo gęsto jak wszędzie, ale strumień wyłobił głębokie koryto między pokrytymi mchem brzegami, tak że zgiąwszy się w pół, mogli wejść w las tunelem utworzonym przez zarośla i gałęzie drzew. Przy pierwszej, brązowej, pomarszczonej przez prąd sadzawce upadli na kolana i pili, pili, i zanurzali w wodzie twarze, a potem ręce aż po łokcie.

– No, a teraz, co z tymi kanapkami? – odezwał się w końcu Edmund.

– Och, czy nie lepiej zachować je na później? – powiedziała Zuzanna. – Później mogą być jeszcze bardziej potrzebne.

– Jak by to było dobrze – wtrąciła Łucja – gdybyśmy teraz, kiedy już nie chce się nam pić, byli tak mało głodni jak wtedy, kiedy BYLIŚMY spragnieni...

– Tak, hm... ale co z tymi kanapkami? – powtórzył Edmund. – Będziemy je oszczędzać, aż się zepsu-

ją? Pamiętajcie, że tu jest o wiele cieplej niż w Anglii, a niesiemy je w kieszeniach od wielu godzin.

Wyjęli więc dwie paczuski z kanapkami, które podzielili na cztery części. Nikt nie najadł się do syta, ale poczuli się teraz o wiele lepiej. Zaczęli dyskutować nad tym, jak zdobyć coś na następny posiłek. Łucja proponowała, by wrócić nad morze i nałowić krewetek, ale ktoś przypomniał, że nie mają przy sobie żadnej siatki. Edmund stwierdził, że trzeba nazbierać mewich jajek, ale kiedy zaczęli się nad tym zastanawiać, doszli do wniosku, że po pierwsze – nikt nie widział po drodze ani jednego jajka, a po drugie – jak je ugotować? Piotr pomyślał sobie, że jeśli tylko nie wydarzy się coś niezwykłego, to prawdopodobnie już niebawem nadejdzie czas, gdy z radością zjedliby i surowe jajka. Nie widział jednak sensu, by mówić o tym na głos. Zuzanna upierała się, że głupotą było zjedanie kanapek tak wcześnie. Zanosilo się na to, że jedno czy dwoje z nich za chwilę straci panowanie nad sobą. W końcu Edmund powiedział:

– Słuchajcie! Pozostaje nam tylko jedno. Musimy zbadać ten las. Pustelnicy, błędni rycerze i inni tacy zawsze jakoś potrafili wyżyć w puszczy. Jedli korzonki, jagody i różne takie rzeczy.

– Co to były za korzonki? – spytała Zuzanna.

– Zawsze myślałam, że chodziło o korzenie drzew – powiedziała Łucja.

– Dajcie spokój! – przerwał Piotr. – Edmund ma rację. Zresztą i tak coś trzeba robić. A chyba lepsze to niż powrót na oślepiające słońce.

Podnieśli się i zaczęli iść w górę strumienia. Nie był to lekki spacer. Musieli zginać się wpół pod nisko wiszącymi gałęziami, przelaźić przez zagradzającą drogę pnie i przedzierać się przez zbity gąszcz jakiegoś paskudnego zielska przypominającego rododendrony. Wkrótce wszyscy mieli podarte ubrania i przemoczone buty. Nikt się nie odzywał, słycać było tylko plusk strumienia i hałas, jaki sami robili, przedzierając się przez zarośla i raz po raz wpadając do wody. Byli już porządnie zmęczeni, kiedy nagle poczuli jakiś cudowny zapach, a potem dostrzegli coś jaskrawokolorowego, migającego wśród zieleni wysoko, na prawym brzegu strumienia.

– Hej! – krzyknęła Łucja. – Mogę się założyć, że to jabłoń.

Miała rację. Wspięli się na stromy brzeg, z trudem przedarli przez gąszcz jeżyn i stanęli przed wielkim, starym drzewem, uginającym się pod ciężarem złocistych jabłek, tak jędrnych i soczystych, jak tylko można sobie było wymarzyć.

– I to nie jest jedyne drzewo – zauważył Edmund z pełnymi ustami. – Spójrzcie tylko tam... i tam...

– Rzeczywiście, jest ich mnóstwo – powiedziała Zuzanna, odrzucając ogryzek pierwszego jabłka i zabierając się do drugiego. – Tu musiał być kiedyś sad, dawno, dawno temu, zanim całe to miejsce zdziczało i zarosło.

– A więc ta wyspa była kiedyś zamieszкана – zauważył Piotr.

– A cóż to takiego? – odezwała się nagle Łucja, wskazując przed siebie.



– Tam do smoka, to przecież mur! – zawołał Piotr.
– Stary, kamienny mur.

Torując sobie drogę wśród zwałów opadłych gałęzi, dotarli do muru. Był bardzo stary, miejscami wykruszony i popękany, porośnięty mchem i zielskiem, wciąż jednak wyższy niż największe z drzew. A kiedy podeszli jeszcze bliżej, stwierdzili, że w murze widnieje wielki łuk, który musiał być kiedyś zwieńczeniem bramy, wypełnionej teraz prawie całkowicie największą ze wszystkich jabłoni. Musieli wyłamać trochę gałęzi, aby dostać się do środka, a kiedy to zrobili, oślepiło ich nagle światło słońca. Znaleźli się na rozległej przestrzeni otoczonej murem. Nie było tu drzew, tylko trawa, stokrotki, bluszcz i szare mury. Było to miejsce jasne, lecz tajemnicze, ciche i nieco ponure. Doszli do samego środka, zadowoleni, że mogą wreszcie wyprostować plecy i poruszać swobodnie nogami.

Starożytny skarbiec

– TO NIE BYŁ OGRÓD – powiedziała w końcu Zuzanna. – To był zamek, a tu, gdzie stoimy, na pewno był dziedziniec.

– Ależ tak, teraz to widzę – zgodził się Piotr. – Tak, to resztki jakiejś wieży. A to musiały być schody wiodące na szczyt murów. I popatrzcie na tamte stopnie, te szerokie i niskie, prowadzące ku temu wejściu. To pewno było wejście do wielkiej sali.

– Przed wiekami, sądząc po wyglądzie – dodał Edmund.

– Tak, przed wiekami – powiedział Piotr. – Bardzo bym chciał wiedzieć, kim byli ludzie, którzy mieszkali w tym zamku, i kiedy to było.

– To wszystko budzi we mnie jakieś dziwne uczucie – powiedziała Łucja.

– Naprawdę, Łusiu? – zapytał Piotr, odwracając się i przyglądając się jej uważnie. – Bo widzisz, we mnie też... Czuję, że to najbardziej niesamowita rzecz, jaka nam się przytrafiła w ciągu tego niesamowitego dnia. Gdzie my jesteśmy i co to wszystko znaczy?

Tak rozmawiając, przeszli przez dziedziniec, a potem przez drugą bramę, do której wiodły szerokie schody. Znaleźli się teraz w miejscu, które niewątpliwie było

kiedyś wielką salą, choć obecnie niewiele różniło się od dziedzińca, gdyż sklepienie dawno temu się zapadło, a pośrodku rosła trawa i stokrotki. Tyle że przestrzeń była mniejsza, a mury wyższe. Na końcu znajdowało się coś w rodzaju podwyższenia.

– Zastanawiam się, czy to naprawdę była sala – powiedziała Zuzanna – bo co ma oznaczać ten taras?

– Ależ nie bądź głupia, Zuziu – powiedział Piotr, który zdradzał objawy dziwnego podniecenia. – Czy nic ci to nie przypomina? To przecież jest podwyższenie, gdzie stał wysoki stół, za którym zasiadał król i jego szlachetni baronowie. Mógłby kto pomyśleć, że już zapomniałaś, jak to było, gdy sami byliśmy królami i królowymi i siadaliśmy na podobnym podwyższeniu w naszej wielkiej sali królewskiej.

– W naszym zamku Ker-Paravel... – wpadła mu w słowo Zuzanna i ciągnęła dalej rozmarzonym, śpiewnym głosem: – W Narnii, u ujścia Wielkiej Rzeki. Jakżeby mogła zapomnieć?

– Jak to wszystko powraca... – powiedziała Łucja. – Możemy sobie wyobrazić, że jesteśmy w Ker-Paravelu. Ta sala musiała być rzeczywiście bardzo podobna do tej, w której ucztowaliśmy.

– Rzeczywiście, tyle że, niestety, nie widzę tu żadnej uczyty – przerwał jej Edmund. – Robi się późno. Zobaczcie, jakie długie są cienie. I czy zauważyliście, że nie jest już tak gorąco?

– Trzeba będzie rozpaścić ognisko, jeśli mamy tu spędzić noc – powiedział Piotr. – Mam zapalki. Chodźmy poszukać jakiegoś suchego drewna.



Dla każdego zabrzmiało to bardzo rozsądnie i przez następne pół godziny wszyscy mieli pełne ręce roboty. W sadzie, w którym byli wcześniej, nie znaleźli drewna na ogień, spróbowali więc szczęścia po drugiej stronie zamku. Wyszli z sali królewskiej przez małe boczne drzwi i znaleźli się w labiryncie kamiennych rumowisk i rozpadlin, które zapewne były kiedyś korytarzami i komnatami, ale teraz zarosły pokrzywami i dzikimi różami. Dotarli w końcu do murów zamku i znaleźli w nich dziurę na tyle szeroką, by przez nią przejść. Po drugiej stronie ciągnął się ciemny las, w którym pełno było martwych gałęzi, spróchniałych pni, zeschniętych liści i szyszek. Wrócili tam kilka razy, aż na podwyższeniu w wielkiej sali zebrał się spory stos. Potem dziewczynki poszły narwać jabłek, a chłopcy przygotowali ognisko w samym rogu tarasu, pod murem, gdzie wydawało się najcieplej i najbardziej przytulnie.

Mieli trochę trudności przy rozpalaniu i zmarnowali sporo zapalek, ale w końcu im się udało i wszyscy zasiedli przy ogniu, opierając się plecami o kamienny mur. Próbowali piec jabłka nadziane na patyki, ale okazało się, że pieczone bez cukru nie są najlepsze; trudno też jeść gorące jabłka palcami, a kiedy ostygną – są gorsze od surowych. Musieli więc zadowolić się surowymi, co pozwoliło Edmundowi zauważyć, że kolacje w szkolnym internacie nie były w końcu takie złe.

– Nie miałbym nic przeciwko grubej pajdzie chleba z margaryną – dodał. Ale poczucie wielkiej przygody podniosło każdego na duchu i tak naprawdę nikt nie pragnął znaleźć się z powrotem w szkole.

Jak tylko znikło ostatnie jabłko, Zuzanna wyszła, by napić się wody ze studni. Kiedy wróciła, niosła coś dziwnego w ręku.

– Patrzcie – powiedziała zdławionym głosem. – Znalazłam to przy studni.

Podawała to coś Piotrowi i usiadła. Jej głos i mina zdradzały, że zaraz może się rozplakać. Edmund i Łucja podskoczyli do Piotra, aby zobaczyć, co ma w ręku: mały, jasny przedmiot, połyskujący w świetle ogniska.

– No nie, niech mnie dunder świśnie... – powiedział Piotr, a jego głos również zabrzmiał jakoś dziwnie. Potem podał przedmiot innym.

Teraz wszyscy zobaczyli, co to było: figurka konika szachowego, normalnej wielkości, lecz niezwykle ciężka, bo zrobiona z czystego złota. Oczy konika to były dwa małe rubiny – albo raczej jeden, ponieważ drugiego brakowało.

– Ale przecież – powiedziała Łucja – jest zupełnie taki sam, jak jeden z tych złotych koników, którymi graliśmy w szachy, gdy byliśmy królami i królowymi na Ker-Paravelu.

– Weź się w garść, Zuziu – powiedział Piotr do drugiej siostry.

– Nie mogę się opanować – odrzekła Zuzanna. – Wszystko staje mi znów przed oczami. Och, jakie to były cudowne czasy! Pamiętam, jak graliśmy w szachy z faunami i dobrymi olbrzymami... Pamiętam śpiew wodników i rusalek dochodzący z morza... i mojego wspaniałego konia... i... i...

– Słuchajcie – przerwał jej Piotr zupełnie innym głosem – najwyższy czas, żebyśmy wszyscy zrobili właściwy użytek z naszych mózgownic.

– O co ci chodzi? – zapytał Edmund.

– Czy nikt z was jeszcze nie zgadł, gdzie właściwie jesteśmy?

– Mów, mów dalej – powiedziała Łucja. – Już od dłuższego czasu czuję, że jakaś cudowna tajemnica wiąże się z tym miejscem.

– No to strzelaj, Piotrze – odezwał się Edmund. – Wszyscy słuchamy.

– Znajdujemy się w ruinach Ker-Paravelu – powiedział Piotr.

– Ale przecież... – zaczął Edmund i urwał. – Skąd ci to przyszło do głowy? Te ruiny są bardzo stare. Spójrz na te wszystkie wielkie drzewa rosnące aż do samej bramy. Spójrz na te kamienie. Przecież każdy widzi, że nikt tu nie mieszkał od setek lat.

– Wiem – powiedział Piotr. – Na tym polega cała trudność. Ale zapomnijmy o niej na chwilę. Chciałbym wam przedstawić moje argumenty, jeden po drugim. Punkt pierwszy: ta sala ma dokładnie takie same rozmiary i kształt jak nasza sala królewska w Ker-Paravelu. Wystarczy tylko sobie wyobrazić sufit, kolorową posadzkę zamiast trawy, tkaniny na ścianach i będziecie mieli naszą królewską salę bankietową.

Nikt się nie odezwał.

– Punkt drugi: zamkowa studnia znajduje się w tym samym miejscu co nasza, nieco na południe od wielkiej sali, ma też dokładnie te same rozmiary i kształt.

I tym razem wszyscy milczeli.

– Punkt trzeci: Zuzanna znalazła przed chwilą jedną z naszych figur szachowych, albo coś tak podobnego jak dwie krople wody.

Znowu nikt nie miał na to odpowiedzi.

– Punkt czwarty: przypomnijcie sobie dzień przed przybyciem posła od króla Kalormenów, czy nie pamiętacie, jak zakładaliśmy sad za północną bramą Ker-Paravelu? Sama Pomona, królowa drzewnych ludzi, przybyła, aby wypowiedzieć nad nim swoje życzliwe zaklęcia. A poczciwe krety wykonały wszystkie prace ziemne. Czy już zapomnieliście starego Liliaka Rękawicę, wodza kretów, jak wsparł się na swoim szpadlu i powiedział: „Niech mi wasza wysokość uwierzy, że będzie kiedyś wielki pożytek z tych jabłoni”. I niech mnie dunder świśnie, jeżeli się mylił.

– Pamiętam! Pamiętam! – zawołała Łucja, klaszcząc w dłonie.

– Ależ, Piotrze – powiedział Edmund – przecież to wszystko nie ma sensu. Zaczyna się od tego, że nie mogliśmy zaplanować takiego paradnego sadu tuż przed bramą. Przecież chyba mieliśmy trochę oleju w głowie.

– Masz świętą rację, tacy głupi nie byliśmy – odpowiedział Piotr. – Ale od tego czasu sad rozrósł się aż do bramy.

– A teraz druga sprawa – ciągnął Edmund. – Ker-Paravel nie leżał na wyspie.

– Tak, o tym też myślałem. Ale był to wówczas... jak to się nazywa... półwysp. Prawie jak wyspa. Czy od naszych czasów nie mógł stać się wyspą? Ktoś mógł przekopać kanał.

– Chwileczkę! – zawołał Edmund. – Powiedziałeś „od naszych czasów”. Ale przecież dopiero rok minął, odkąd wróciliśmy z Narnii. Chcesz nam wmówić, że w ciągu jednego roku zamki zamieniają się w kompletną ruinę, wielkie puszcze wyrastają tam, gdzie ich nie było, małe drzewka, które sami sadziliśmy, stają się wielkim, starym sadem i Bóg wie co jeszcze?

– Coś sobie przypominam – przerwała im Łucja. – Jeżeli to jest Ker-Paravel, to przy końcu królewskiego podium powinny być drzwi. Tak, powinniśmy siedzieć akurat przed tymi drzwiami. Pamiętajcie... drzwi prowadzące do skarbcza.

– Nie wydaje mi się, żeby tu były jakieś drzwi – powiedział Piotr i wstał.

Ściana pokryta była kaskadą bluszczu.

– Możemy się o tym zaraz przekonać – powiedział Edmund, chwytając jedną z gałęzi, które przynie-

śli z lasu na ognisko, i zaczął nią metodycznie walić w mur. Tap – tap – tap – odpowiadała ściana, i znowu: tap – tap – tap, aż nagle: bum – bum – bum – usłyszeli zupełnie inny dźwięk, pusty i drewniany.

– O holender! – krzyknął Edmund.

– Musimy oczyścić mur z tego bluszczu – powiedział Piotr.

– Och, dajcie teraz spokój – wtrąciła Zuzanna. – Możemy to zrobić rano. Jeżeli mamy tu spędzić noc, to nie chcę mieć za plecami żadnych otwartych drzwi i wielkiej czarnej dziury, z której w każdej chwili może Bóg wie co wylecieć, nie mówiąc o przeciągu i wilgoci. I zaraz zrobi się ciemno.

– No wiesz, Zuzanno! Jak możesz! – zawołała Łucja z wyrzutem. Ale obaj chłopcy byli zbyt podnieceni, aby zwracać uwagę na rady Zuzanny. Zabrali się do usuwania bluszczu rękami i scyzorykiem Piotra z takim zapalem, że bardzo szybko ostrze się złamało. Edmund wyciągnął swój scyzoryk. Wkrótce całą posadzkę w rogu podwyższenia pokrył bluszcz, a w ścianie wyraźnie ukazały się drzwi.

– Oczywiście zamknięte – powiedział Piotr.

– Ale drewno jest zbutwiałe – stwierdził Edmund.

– W dwie minuty rozbijemy je na kawałki i będziemy mieli dodatkowy opał.

Zajęło im to jednak więcej czasu, niż się spodziewali, i zanim drzwi zostały otwarte, zapadł zmrok, a wysoko nad ich głowami pojawiły się pierwsze gwiazdy. Nie tylko Zuzanna poczuła lekki dreszcz, kiedy chłopcy stanęli wreszcie na stosie połupanego drewna,



otrzepując ręce i patrząc w wiejący chłodem czarny otwór.

– Teraz potrzebna będzie pochodnia – powiedział Piotr.

– Och, po co to wszystko? – odezwała się Zuzanna.
– I przecież sam Edzio mówił, że...

– Ale teraz mówię co innego – przerwał jej Edmund. – Wciąż tego nie rozumiem, ale wyjaśnimy to później. Mam nadzieję, Piotrze, że zamierzasz tam wejść?

– Musimy to zrobić – odpowiedział Piotr. – Weź się w garść, Zuzanno. Nie możemy się zachowywać jak dzieci, kiedy już jesteśmy z powrotem w Narnii. Tutaj jesteś królową. I przecież nikt nie mógłby zasnąć, nie wyjaśnwszy takiej tajemnicy.

Próbowali zrobić pochodnie z długich patyków, ale nic z tego nie wyszło. Jeżeli się taki patyk trzyma płonąącym końcem do góry, szybko gaśnie, a jeśli trzyma się go odwrotnie, płomień parzy w rękę, a dym gryzie w oczy. W końcu przypomnieli sobie o latarce Edmunda; na szczęście dostał ją na urodziny zaledwie przed tygodniem i bateria była prawie nowa. Zaczął schodzić pierwszy, oświetlając drogę. Potem szła Łucja, za nią Zuzanna, a Piotr zamykał pochód.

– Tu zaczynają się schody w dół – odezwał się Edmund.

– Licz stopnie – powiedział Piotr.

– Raz... dwa... trzy... – liczył Edmund, schodząc ostrożnie, aż doszedł do szesnastu. – To już koniec.

– A więc to musi być Ker-Paravel – powiedziała Łucja. – Tam było właśnie szesnaście stopni.

Nikt się nie odezwał. Stanęli wszyscy na dole, trzymając się blisko siebie. Edmund poświecił latarką wokoło.

– O – o – o – och! – wykrzyknęła cała czwórka zgodnym chórem.

Teraz bowiem wszyscy już wiedzieli, że naprawdę znajdują się w starożytnym skarbcu, w Ker-Paravelu, gdzie niegdyś byli królami i królowymi Narnii. Do środka komnaty wiodło coś w rodzaju ścieżki (podobnie jak to bywa w cieplarniach), a po każdej jej stronie i na rogach krzyżujących się przejść stały kompletne zbroje, wyglądające jak rycerze strzegący skarbów.

Pomiędzy zbrojami ciągnęły się po obu stronach półki z drogocennymi przedmiotami. Były tam na-

szyjniki i bransolety, pierścienie, złote misy, talerze i długie kły słoniowe, brosze, diademy i złote łańcuchy oraz całe stosy nieoprawionych drogich kamieni, leżących byle jak, jakby to były marmurowe kulki do gry lub kartofle: diamenty, rubiny, granaty, szmaragdy, topazy i ametysty. Pod półkami stały wielkie kufry z dębowego drewna wzmocnione żelaznymi okuciami i pozamykane na ciężkie kłódki. Było tu przeraźliwie zimno i tak cicho, że słyszeli swoje oddechy. Skarby pokrywała gruba warstwa kurzu. Gdyby nie byli pewni, gdzie się znajdują, i gdyby nie pamiętali wielu spośród tych przedmiotów, z trudnością rozpoznaliby, że są to skarby. To miejsce miało w sobie coś przygnębiającego i budzącego lęk: wszystko było przerażająco stare i zapomniane od wieków. Przez dobrą minutę nikt nic nie mówił.

Ale potem, rzecz jasna, zaczęły się rozmowy, buszowanie po skarbcu i odnajdywanie różnych znajomych przedmiotów. Przypominało to spotkanie z bardzo dawno niewidzianymi przyjaciółmi. Gdybyście tam byli, usłyszelibyście, jak co chwilę ktoś woła: „Och, patrzcie! Nasze pierścienie koronacyjne... pamiętacie, jak włożyliśmy je po raz pierwszy? – O, przecież to jest ta broszka, o której wszyscy myśleli, że zginęła! – Hej, czy to nie jest zbroja, którą nosiłeś podczas wielkiego turnieju na Samotnych Wyspach? – A pamiętasz tego karła, który mi ją zrobił? – Pamiętacie, jak się piło z tego rogu? – Pamiętacie? – Pamiętacie?”

W końcu Edmund powiedział:

– Słuchajcie, powinniśmy oszczędzać baterię. Kto wie, ile razy będzie nam jeszcze potrzebna. Czy nie byłoby lepiej zabrać to, co chcemy, i wrócić na górę?

– Musimy wziąć nasze podarunki – powiedział Piotr. Dawno temu on, Zuzanna i Łucja dostali w Narnii pewne prezenty, które cenili bardziej niż całe królestwo. Edmund nie dostał nic, ponieważ w tym czasie nie było go z nimi. (Zresztą z jego własnej winy; możecie o tym przeczytać w innej książce, pod tytułem *Lew, Czarownica i stara szafa*.)

Wszyscy zgodzili się z Piotrem i poszli środkowym przejściem aż do odległego końca komnaty, gdzie – tak jak się spodziewali – na ścianie wisiały drogocenne dary. Najmniejszy należał do Łucji, a była nim niewielka buteleczka, zrobiona jednak nie ze szkła, lecz z diamentu, a wewnątrz znajdowała się wciąż jeszcze ponad połowa magicznego płynu, który goił każdą ranę i leczył każdą chorobę. Łucja nic nie powiedziała, ale minę miała bardzo uroczystą, kiedy zdjęła swój dar i przewiesiła przez ramię rzemyk skórzanej pochewki. Tak zwykle ją nosiła w dawnych, dobrych czasach. Darem należącym do Zuzanny był łuk, kołczan ze strzałami i róg. Łuk wisiał na swoim miejscu wraz z kołczanem pełnym dobrze upierzonych strzał, ale...

– Och, Zuzanno – powiedziała Łucja – gdzie jest twój róg?

– A niech to licho! – zawołała Zuzanna po chwili namysłu. – Teraz mi się przypomniało. Miałam go ze sobą ostatniego dnia, gdy polowaliśmy na Białego

Jelenia. Musiałam go zgubić, kiedy przedzieraliśmy się do tego innego miejsca... mam na myśli Anglię...

Edmund aż gwizdnął. Ta strata mogła się okazać najbardziej dotkliwa. Róg był zaczarowany: kiedykolwiek się na nim zagrało, było pewne, że zawsze nadejdzie jakaś pomoc, bez względu na miejsce i czas.

– To właśnie była taka rzecz, którą dobrze jest mieć pod ręką w miejscu takim jak to – powiedział Edmund.

– Nic na to nie poradzimy – odpowiedziała Zuzanna. – Zresztą mam jeszcze swój łuk. – I zdjęła go ze ściany.

– Czy aby cięciwa nie zbutwiała? – zapytał Piotr.

Ale czy to z powodu jakichś magicznych właściwości powietrza w skarbcu, czy też z innych przyczyn łuk był wciąż sprawny. W strzelaniu z łuku i w pływaniu Zuzanna była naprawdę dobra. W jednej chwili umocowała cięciwę, a następnie lekko ją odciągnęła i puściła. Rozległ się dźwięczny, wibrujący w powietrzu brzdęk. I ten krótki dźwięk przypomniawszy im dawne czasy bardziej i wyraźniej niż wszystko, co wydarzyło się do tej pory. Obrazy bitew, gonitw myśliwskich i uczt zaczęły się nagle tłoczyć jeden przez drugi przed ich oczami.

Zuzanna ponownie odwiązała cięciwę z jednego końca i zawiesiła kołczan u boku.

Teraz Piotr sięgnął po swoje dary: tarczę z wymalowanym na niej wielkim, czerwonym lwem i królewski miecz. Zdmuchnął kurz i stuknął nimi kilka razy w posadzkę. Umieścił tarczę na ramieniu i zawiesił



miecz u boku. Trochę się bał, że klinga mogła zardzewieć i przywrzeć do wnętrza pochwy. Ale nie: jednym szybkim ruchem wy dobył miecz i wzniósł do góry, a ostrze zaśniło w świetle latarki.

– To mój miecz Rindon, którym zabiłem wilka. – W jego głosie zabrzmiał teraz nowy ton i reszta ro dzęństwa poczuła, że znowu jest Wielkim Królem Piotrem.

Ale wkrótce przypomnieli sobie, że trzeba oszczędzać baterię. Wspięli się po schodkach na górę, dorzucili sporo drewna do ogniska i położyli się jedno przy drugim, aby było cieplej. Kamienna posadzka była twarda i niewygodna, ale w końcu wszyscy zasnęli.